

Przewodnik Katolicki

Ilustrowany tygodnik dla rodzin katolickich - Redaktor założyciel X. Józef Klos, redaktor nacz. X. Fr. Forecki



Bo zmartwychwstał samowładnie,
Jak przepowiedział dokładnie.

(Objąsnienie obrazka na stronie 252.)

Obraz G. Gutherza.

ZMARTWYCHWSTANIE

RESURREXIT SICUT DIXIT

(Zmartwychwstał, jak powiedział)

Wiersz napisany dla Przew. Katolic. przez 90-letniego weterana powstania z 63 r., p. Mamerta Wandallego z Nowogrodu (p. Łomża).

Wykonało się... Umarł... Zdjęto Go z
Matka boleściwa przytula do łona, [krzyża,
Z niebiosów obłok ku ziemi się zniża,
Asysta aniołów w milczeniu skupiona.

Złożono Go w grobie... Postawiono strażę,
Opieczętowano, by snąć Go nie wzięto.
Cisza zapanowała na ziemi obszarze...
Zajaśniał grób, w którym Go zamknięto.

Zwałił się kamień, jasność uderzyła.
Zmartwychwstał Pan... Piłatowe strażę
Padły czołem... piekiel rozpadła się siła
Przed Panem... Anioł stanął przy pieczarze.

O różnym świcie przysłyły trzy Maryje:
Wiara zbawcza — Miłość kojąca — Nadzieja.

— Niema Go tu!... — Wstał z martwych — Pan żyje!
Rzekł anioł... Nad światem nowa się rozwija

Wiara... Zamknęła ona księgi Mojżeszowe,
Nowe wskazała światu drogi do zbawienia,
Pan zmartwychwstały życie daje nowe
Ludom, co uwierzyły w moc Jego Imienia.

Obdarzył świat cały bliźniego miłością,
Nikogo nie każe mieć w swej nienawiści,
Miłością zwyciężać każe, a nie złością,
A wtedy raj Boży na ziemi się ziści.

I ogrom dobra spadnie na świat cały,
Bóg go zamieni na wieczysty eden,
Gdy do serc wstąpi Chrystus zmartwych-
I zapanuje nad światem Bóg jeden. [wstały

RADOSNEGO ALLELUJA

zyczy Redakcja „Przewodnika Katolickiego” Jego Eminencji Najdostojniejszemu Ks. Kardynałowi Prymasowi Augustowi Hlondowi, Jego Eminencji Najdostojniejszemu Ks. Kardynałowi Aleksandrowi Kakowskiemu, Ich Eksceleńcom Najprzewielebniejszym Księżom Arcybiskupom i Biskupom całej Polski, Przewielebnemu Duchowieństwu, Szanownym Współpracownikom i Drogim Abonentom, Przyjaciołom i Czytelnikom naszego pisma. Niech radosne Święto Zmartwychwstania, ukoronowanie Dzieła Odkupienia, napełni nas wszystkich Łaską i Pokojem Chrystusowym.

Ewangelje o Zmartwychwstaniu Pańskim

Mateusz, 28, 1—4

A po szabacie, gdy w niedzielę świtać zaczynało, wyszła Marja Magdalena i druga Marja, by obejrzeć grób.

A oto powstało wielkie trzęsienie ziemi. Albowiem Anioł Pański zstąpił z nieba, a zbliżywszy się, odsunął kamień i usiadł na nim. I była postać jego niby błyskawica, a jego szaty białe jak śnieg. A z bojaźni przed nim strażnicy zdrżeli, i jakby pomarli.

Marek, 16, 1—7 (Łukasz, 24, 1—7)

Gdy zaś szabat minął, Marja Magdalena i Marja, matka Jakóba, i Salome zakupiły wonności, by pójść i namaścić Go.

Wczesnym tedy rankiem w niedzielę przychodzą one do grobu już po wschodzie słońca. Mówiły zaś między sobą: Kto nam odwali kamień od otworu grobowego?

I podniosłszy oczy, spostrzegły, że kamień był odwalony — a był on bardzo wielki. Weszły tedy do grobu i po prawej stronie ujrzały młodzieńca siedzącego, odzianego w białą szatę, i zdumiały się. On zaś rzekł do nich: Nie trwóście się! Szukacie Jezusa Nazareńskiego, ukrzyżowanego? Powstał z

martwych; niemasz Go tu. Oto miejsce, gdzie Go złożono! Atoli idźcie, powiedzcie uczniom Jego i Piotrowi: „Idźcie przed wami do Galilei; tam Go zobaczycie, jak wam zapowiedział”.

Jan 20, 1—10

A w niedzielę nad ranem, gdy jeszcze ciemno było, przychodzi Marja Magdalena do grobu i widzi, że kamień od grobu jest odwalony. Bieży przeto i przybywa do Szymona Piotra i do drugiego ucznia, którego Jezus miłował¹⁾, i rzecze do nich: Zabrano Pana z grobu, a nie wiemy, gdzie Go położono.

I wybrał się Piotr i ów drugi uczeń w drogę i przybyli do grobu. A obaj razem biegli; — ale ów drugi uczeń wyprzedził Piotra, i pierwszy przyszedł do grobu. A schyliwszy się, widzi leżące taśmy; — wszelako nie wszedł.

Nadchodzi tedy Szymon Piotr, który podązał za nim, i wchodzi do grobu i ogląda leżące taśmy, a także chustę, która była na głowie Jego, a nie leżała razem z taśmami, lecz oddzielnie była zwinięta na osobnym miejscu. Wtedy więc wszedł i ów uczeń, który pierwszy przybiegł do grobu; — i spojrzal, i uwierzył. Nie rozumieli bowiem jeszcze Pisma, iż trzeba było, aby On²⁾ z martwych powstał.

I odeszli znowu uczniowie do siebie.

¹⁾ T. j. do Jana.

²⁾ Jezus.

Obrazek na lewo: Wielkanoc na Kurpiach. Dziewczęta w procesji.



ALLELUJA

Przez Twoje święte Zmartwychpowstanie...

— Kiedy w zaraniu dnia dzisiejszego kapłan zaśpiewa: Surrexit Dominus de sepulcro — Powstał Pan z grobu — i kiedy z Chrystusem Ukrzyżowanym i Chrystusem Zmartwychwstałym na przedzie ruszy procesja rezurekcyjna — z piersi naszych popłynie pod niebo z biciem rozkolysanych dzwonów starożytna radosna pieśń: Przez Twoje święte Zmartwychpowstanie.

Popłynie na cześć i na podziękę Zbawicielowi za cud Zmartwychwstania, popłynie na świadectwo naszej wiary w ten największy cud Syna Bożego.

Bo to święte Zmartwychpowstanie jest największym cudem Boga-Człowieka, jest jądrem naszej wiary, kamieniem węgielnym naszego Kościoła. „A jeśli Chrystus nie powstał, próżne tedy jest przepowiadanie nasze, próżna jest i wiara wasza” — pisze św. Paweł w liście do Koryntjan (I. 15, 14).

Po największym zgorszeniu krzyża przyszło zaraz najwyższe uwielbienie w Zmartwychwstaniu. I dlatego w procesji rezurekcyjnej idą obok siebie te dwa najwyższe godła naszej wiary: Chrystus Ukrzyżowany i Chrystus Zmartwychwstały.

Hasło: Ukrzyżuj Go! było nawoływaniem do usunięcia z pośród żywych tego, który był Bogiem. Śmierć haniebna na krzyżu miała być dowodem bezsilności i fałszywej nauki tego Boga.

Urzędowo, z upoważnienia Pilata pieczętują Żydzi grób, stawiają przy nim strażę niewątpliwie starannie dobraną. Wszystko zdawało się w najlepszym porządku! Już nic z „tej” strony nie zagraża.

Ale już w ranek niedzielny — grób pusty — straż przerażona. Już Chrystus mocą własną, mocą Bożą wstaje z martwych. Dusza wraca do tego samego ciała, które wisiało na krzyżu, a które teraz wychodzi z grobu uwielbione, pełne chwały.

Cud Zmartwychpowstania to zwycięstwo mocy Bożej nad wszelką mocą, nad wszelką złością i nikczemnością ludzką.

Do tego Zmartwychpowstania odwołuje się człowiek, ilekroć nad jego życiem, zwłaszcza nad życiem religijnym zaczynają przemagać siły wraże, siły szkodliwe, gwałcące sumienie, odbierające wiarę, gdy w swoją przemoc usiłuje go dostać tyranizm wszelkiego rodzaju, dufne we własne swoje siły i odrzucające rząd i prawo Boże nad światem.

W to święte Zmartwychpowstanie ma nadzieję mały, biedny człowiek, gdy go zła dola ściśnie, gdy go przytłoczą nadmierne ciężary, gdy bezrobocie odbierze zarobek i stępi siły, gdy głód i nędza do rozpacz doprowadza. W ten Wielki Piątek swojego krzyża krzepi się nadzieją Niedzieli Zmartwychwstania.

W to święte Zmartwychpowstanie wierzą narody, w których fala nowoczesnego pogaństwa chce spółkać się Chrystusowi i z korzeniami wyrzucić chrześcijaństwo. W imię tego Zmartwychpowstania kardynał Faulhaber i kardynał Bertram w walce z tą falą nowego pogaństwa wlewają w dusze wiarę w zwycięstwo mocy Bożej.

Wiarą w to święte Zmartwychpowstanie krzepią się wyznawcy Chrystusa w Me-

ksyku i w Rosji, gdzie zjadła bezbożność i nieposkromiona pycha ludzka na nowo kładzie w grób Chrystusa, przykładając pieczęcie i stawia strażę, głosząc, jak ów biblijny głupiec: „Niemasz Boga, umarł i nie zmartwychwstał więcej”!

I oto śmieje się z tej głupoty radosne słońce Zmartwychwstania Pańskiego. Przez wiarę w to święte Zmartwychpowstanie zwyciężyła już Austria, zwyciężyła Hiszpanja, zwyciężyła, da Bóg, Rosja i Meksyk.

Przez Twoje święte Zmartwychpowstanie spraw to, Synu Boży, aby nie przemożły te obłędne siły, które pragnęłyby i u nas w Polsce odebrać nam Ciebie, przypieczętować grób Twój na wieki, zniszczyć wiarę w Twój Krzyż i Twoje Zmartwychwstanie.

Jak na procesji rezurekcyjnej tak i w dziejowym pochodzie Polski niech idą na przedzie święte godła Twojej Męki i Twego Zmartwychwstania i będą wyrazem wiary naszej, że przez Twoje święte Zmartwychpowstanie żywot nasz naprawisz, śmierci wiecznej nas zbawisz. Alleluja!

WESOŁEGO ALLELUJA!

Tak się cudownie już od wieków składa, że Zmartwychwstanie Tego, który śmierć przelamał, zbiega się z przebudzeniem wiosny. W oczach naszych znika szarość zimy, a ziemia z godziny niemal na godzinę przystraja się tysiącem kwiatów. Pąki na drzewach rozwijają się — wierzby zaczynają srebryć się puszystymi kotkami — zielona wiosenna ruń zaczyna się barwić pierwszymi nieśmiało, drobnymi kwiatkami. Ptaki zaczynają weselej śpiewać w wiosennym słońcu — a w górach, w naszych polskich górach wiosna ubiera biały obrus śniegu barwnymi krokusami. Tak to już sprawiła Boża Opatrzność,

iż zawsze ludzkim sercom jakoś lżej bywało na wiosnę. Nic więc dziwnego, że pola nasze rozbrzmiewały radosną pieśnią. Młodzież np. na Rusi o święcie ruszała na pola, by w „rogach” ich zakopać różne świętości, byle tylko ziemia dobrze rodziła. Na drogach i rozstajach brzmiało wtedy od pieśni:

*Duszo, duszo nie bądź smutna,
Przepróś matkę zaraz jutro...
A my z kurkiem rano wstali
Pierwszą rosę otrząsali.
Wstańcie panny — kurek pieje!
A wy matki jeszcze śpijcie,
Bo się przez dzień narobicie.*

I po dziś dzień Wielkanoc zachowała znamię święta szczególnej radości.

W dniu tym zbieramy się wszyscy przy stole pięknie zastawionym, który

Niżej: Wielkanoc na Kurpiach. Chłopcy pełniący straż przy grobie.





Święcone w Bronowicach pod Krakowem.

Włodzimierz Tetmajer.

między innymi zdobią barwne jajka — tak zwane pisanki lub kraszanki. Czy nie piękne są wymalowane na nich śliczne drobnouche figurki zwierzątek — i te kwiatuszki? Od niepamiętnych już czasów lud nasz polski ozdabia stół wielkanocny pisankami. Gospodyni dzieli się jajkiem z domownikami i gośćmi, składając im życzenia. Skąd ten zwyczaj? — jest to zwyczaj prastary, który wywodzi się jeszcze z zamierzchłych czasów dawnych Słowian. Jajko było wyobrażeniem życia, które pokonało, oddzielając je od świata zewnętrznego skorupę. I nasze jajko wielkanocne przypomina nam Chrystusa, który zmartwychwstał mimo płyty grobowej.

W drugie święto Wielkiejnocy urządza młodzież tak zwany „dyngus” lub „śmigus”. Co śmiechu, co zabawy...

*...Przysłaliśmy tu po dyngusa
Ale nas też nie opuścić,
Placków, jajek nie zatujcie,
Bo jak nic nie dost niemy,
Wszystkie garnki poltuczemy...*

Chłopcy czatują czasami z całymi wiaderkami wody, aby oblać roześmiane wesołe dziewczęta. Krzyk, śmiech, radość — młodzież dokazuje pośród strumieni wody.

Trzeba jednak uważać, aby nie przebrać miary w tej zabawie. Może dobrze byłoby pamiętać o tem, aby komu nie zniszczyć świątecznego ubrania —

aby nie sprawić komu przykrości. Spore niewątpliwie powstałoby morze z wody, którą w Polsce oblewano się w czasie dyngusu. Nie żalowano jej nikomu, suchej nitki nie zostawiając. Kończyło się to często żałością, zwłaszcza że dziewczęta chwytało poprostu za ręce i nogi i zanurzano całe we wodzie. Największą jednak uciechą było przydybać ofiarę w łóżku, co kończyło się zwykle potopem. Musiał jednak dyngus prowadzić do dużej często swawoli, skoro za Jagielly w diecezji poznańskiej władza duchowna takie wydała księżom polecenie: „Zabraniajcie, aby w drugie i trzecie święto wielkanocne mężczyźni kobiet, a kobiety mężczyzn nie wazyły się napastować, ani do wody ciągać, co pospolicie nazywają dyngować”.

W niektórych okolicach młodzież robi bałwana ze słomy i niesie go w uroczystym pochodzie do rzeki czy stawu. „Topimy zimę”, śmieją się. Jest to przeżytek prasłowiańskiej uroczystości, w czasie której „topiono” boginię śmierci Marzannę. Bardzo do tego zbliżonym zwyczajem jest gaik, zwany także majkiem, albo nowem latkiem. Jest on przywilejem dziewcząt, a polega na tem, że bierze się sosnową gałąź, ozdobioną barwnymi wstęgami, i lalką przywiązaną do wierzchołka a idąc od chaty do chaty śpiewa się:

*Gaiku zielony, pięknie ustrojony,
a chłóż ci go ustroił?
Nadobne dziewczyny — gaicek zielony
Pięknie ustroiły.*

Najpiękniejszym jest jednak chrześcijański zwyczaj święcenia jada świątecznego. Spójrzmy tylko co za piękny obrazek. W Wielką Sobotę przychodzą pięknie, w barwne chustki ubrane gospodie i stają wieńcem kolorowym przed kościółkiem. Rozkładają swe kosze i na obrusach układają święcone. A więc baby pękate i placki — zwoje wonnej kielbasy — chleb świąteczny i piękne kolorowe pisanki. Wszystko ubrane zielonemi gałązkami bukszpanu, śliczne, apetyczne, kolorowe.

Ksiądz proboszcz wychodzi z kropidłem, błogosławi — święci...

Dzieciaki nie mogą doczekać się „święconki” i gospodyni dobrze ich musi pilnować, aby nie wydlubywały rodzynków z placków.

W niedzielę idą wszyscy na Rezurekcję — w dawnej Polsce mawiano, iż w dzień ten „najpodlejszy nawet szuja idzie do kościoła” — a potem, po powrocie, cała rodzina w wesołym i zgodnym nastroju składa sobie życzenia. I my dołączamy się do nich, życząc naszym czytelnikom i ich rodzinom wszystkiego dobrego — zdrowia —

„Wesołego Alleluja”.



Z Archidiecezji Poznańskiej i Gnieźnieńskiej

Dnia 7 kwietnia b. r. zmarł w Grodzisku, opatrzony św. Sakramentami, emerytowany dziekan i b. proboszcz wrzesiński, radca duchowny ks. **Szczęśny Fierek**. Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!

Do grobu św. Wojciecha

Do Gniezna dnia 28 kwietnia b. r. z Wielką Pielgrzymką na zakończenie Roku Jubi-

leuszowego! Wyjaśnień udziela Archidiecezjalny Instytut Akcji Katolickiej, Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.

Porada prawna

M. S. Jeżeli w ciągu 3 miesięcy po upływie okresu zawieszenia, sąd nie zarządzi wykonania kary, skazanie uważa się za niebyłe i kara nie może już być odbyta. Skazany może twierdzić, że nie był skazany.

Nasze listy i odpowiedzi

WP. Rost. Żałujemy, że mimowoli sprawiliśmy przykrość. Właściciela nazwiska — o ile

wogóle jest autentyczne — należy poszukiwać zagranicą, gdyż opowiadanie jest przedrukiem, nadesłanym nam z Ostrowa. Serdecznie przepraszamy za przykrość.

Kalendarz

21. N. Wielk. Anzelma. Witaszyce i Kwilcz.
22. P. W. Kaj. i Sot. Żerków i Lutom.
23. W. Wojciecha, bp. Kołaczkowo i Wytom.
24. Ś. Eidelisa z Sigmar. Nowawieś i Baszków.
25. C. Marka Ewang. Winnagóra i Chwalisz.
26. P. NMP. Dobrej R. Broniszewice i Kobylin.
27. S. Piotra Kaniz. Brzezie i Sulmierzyce.

Adoracje N. S.

„Dzień nie jest żadnej kuny przyjacielem“

Słońce już dawno było schowało się za szczytami gór. Nastąpiła ciemna noc, pełna cichych, skrytych, tajemniczych głosów.

Pięć łokci poniżej sokolich pieleszy wąska wstęga skalista otacza turnię. Na wstędze tej czarny zwierz w tę i ową skacze stronę. Długi on i wąski jak węgorz, zwinny jak żmija. Skoczył bez szelestu w prawo, wywinął kominiek, nawrócił, rzucił się w lewo, dał susa po ścianie skalistej, i bawi się tak z kwadrans.

Czarny zwierz przekształca się w ciemny kłęb, przez moment zachowuje się spokojnie, poczem w czarny wyrasta kolek, który w dziwny sposób kręci się i krzywi, wije się i chyli, że dwoje zielonych ślepi błyszczą się z prawej jego strony, to znów z lewej, raz wyżej, raz niżej; i znowu kolek zamienia się w węża czarnego, który czołgając się, łażąc lub skacząc, śpieszy z głazu na głaz, od wystawki do wystawki, aby wkońcu wynurzyć się u szczytu skalistej wstęgi.

I tam oto teraz siedzi w świetle półksiężyca — on, tumak złotoszyi, w czajeniu się i łażeniu mistrz nad mistrze, postrach wszystkich stworzeń cichych i skromnych — siedzi tam w całej swej brunatnojedwabistej wspaniałości wśród błękitnych dzwonek orlika, a białych gwiazdek firletki, i zajęty jest tem, co zawsze tu robi — wypróżnieniem się.

Potem wydaje głos, jakby śmiechu urągłiwego, bo wie, że Błysk Wroni-grom, sokół wędrowny, poblednie i zzielenienie z złości, gdy obudziwszy się rano, zoczy dowód jego świeżej tu bytności. Kuna obwąchiwa resztki wrony, leżące obok kwitnących kwiatów, obraca je na wszystkie strony i spycha je wkońcu z krawędzi skały, iż z szumem spadają na dywan zwiędłych liści, przeskakuje głęboką szczelinę, daje potężnego susa na zwieszającą się gałąź skar-

łowacialej lipy, stąd na sąsiedni buk, i zsuwa się po tegoż pnium na ziemię.

Cyt! — zaszeleściło przecież coś. Złotoszyi zamienia się w słup. Tak — tam, nieco w bok, coś szmera. Tumak daje susa, słycać cienki pisk — tłusta mysz leśna dostała się pod jego moc. „Pobawimy się trochę“ — pomyślał okrutnik, i puszcza zdobycz, lecz natychmiast ją znowu łapą przytlacza, zanim zdołała zniknąć w jamie. Siedm razy pozwala jej uciekać, i siedm razy od nowa ją łąwi; za ósmym razem mysz nie piszczała już wiewiępieś muchę“ — rzekł złotoszyi po jej spożyciu, i dalej się czai ścieżką łowiecką. Znowu szelest. Hop! Rabaś złowić coś, ale — fe, paskud — to salamandra. Tumak parska i pluje i wyciera pysk o wilgny, zroszony mech, bo zdobycz jego obrzydliwsza jeszcze od kawalka pieprznej kiszki, który połknął był w styczniu, trawiony wilczym głodem. Szybko więc spożywa tłustego chrabąszcza, który usuwa wstrętny, gryzący smak z języka.

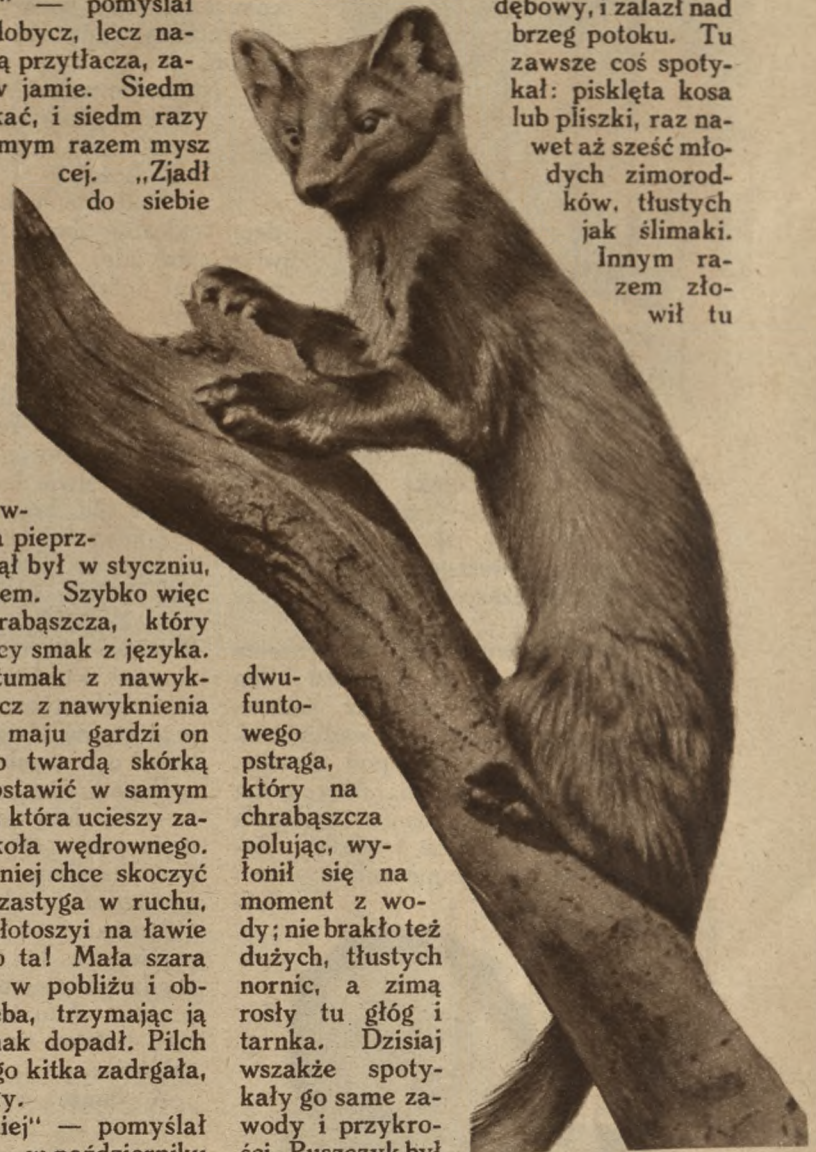
Widać smolarnię; tumak z nawyknięcia odwiedza ją, lecz z nawyknięcia tylko, bo przecież w maju gardzi on suchym flaczkiem lub twardą skórką sera. Lecz warto zostać w samym środku stołu pamiętkę, która ucieszy zarówno leśnika jak sokoła wędrownego. Więc hyc na ławę; z niej chce skoczyć na stół. Wtem nagle zastyga w ruchu, bo ktoś jest tu już. Złotoszyi na ławie wydłuża kark. Ech, to ta! Mała szara koszatka siedzi sobie w pobliżu i obgryza kromeczkę chleba, trzymając ją w łapkach. Już ją tumak dopadł. Pilch zakwiczął, puszysta jego kitka zadrgała, i łapki w zgonie zwisły.

„Trochę mało na niej“ — pomyślał złotoszyi, gdy ją pożerał — „w październiku są tłustsze!“ Więcej niż połowę z niej zostawił na stole, obok wizytówkę swą złożył,

„Trochę mało na niej“ — pomyślał złotoszyi, gdy ją pożerał — „w październiku są tłustsze!“ Więcej niż połowę z niej zostawił na stole, obok wizytówkę swą złożył,

i znikł w rozsadniku. Lecz nie ma tu nic, ani myszy nawet, jest tylko ropucha, co zaognionemi oczami złośliwie na niego spogląda. Złotoszyi otrząsa się z obrzydzenia i skacze dalej wzdłuż tryby, w dół zbocza, mija źródło, w którego zbiorniku żaby

rechcą, mija młodnik dębowy, i zalał nad brzeg potoku. Tu zawsze coś spotykał: pisklęta kosa lub pliszki, raz nawet aż sześć młodych zimorodków, tłustych jak ślimaki. Innym razem złowić tu



Tumak czyli kuna leśna, inaczej złotoszyi.

dwufuntowego pstrąga, który na chrabąszcza polując, wyłonił się na moment z wody; nie brakło też dużych, tłustych nornic, a zimą rosły tu głóg i tarnka. Dzisiaj wszakże spotykały go same zawody i przykrości. Puszczyk był bezczelny; mając bowiem na dębie troje lot-

nych już i opasłych młodych, bezustannie uderzał

na niego, dziobem zgrzytając i sycząc, dopóki złotoszyi gniewnie do lasu nie nawrócił.

„Skoro dołem nic niema, może górą coś się znajdzie“ — pomyślał tumak, i sunął na dąb. Na dębie znajdowały się trzy

(Ciąg dalszy na str. 249.)

1) Fe paskud, to salamandra.

2) „Szybko więc tłustego chrabąszcza...“

3) „Trochę mało na niej, w październiku są tłustsze“ — pomyślał złotoszyi.



BABUSINA SZYNKA

babcia w Wielki Piątek wodę w dużym garnku, pożyczyla od Maryni z piętra, że to niby chce wodę zażyć do szorowania podłogi i czekała z bijącym sercem, aż zakipi, bo szynka, to najlepsza, najkruchsza, gdy się ją na wrzątek wrzuci.

Nareszcie w garnku: bul, bul, bul...

Przeżegnała się, wrzuciła, zapachniało... dawnym smakiem.

Ej Boże!...

Siedziała w kąciu, przesuwala chudymi palcami ziarna różańca, a myśl leciała w odległe lata, gdy to jeszcze mąż żył, zarobek był dobry i co roku bywała na Wielkoc szynka...

Pukanie... nieśmiało, jakgdyby mysz skrobała gdzie w kącie.

Otworzyła niechętnie...

Naturalnie Tomaszowa z drugiej suteryny, co to jej mąż już trzeci miesiąc na łazarstwie leży, a dziecko, to tam jak w ulu, brzęczą cały dzień.

Tomaszowa stoi kornie w progu, wbiła oczy w garnek, jakgdyby przez blachę chciała zobaczyć do wnętrza.

— Prosiłabym bardzo, żeby mi pani Rojkowa pożyczyla trochę mąki, żebym chociaż w te święta klusek dla dzieci zrobiła... taka u nas nędza. Mąż, ani w te, ani w te stronę, dzieci głodne. A pani Rojkowa co, szynkę gotuje, tak pachnie...

Rzuciła się babka gniewliwie:

— Gdzieby zaś szynkę! Nie stać mnie moja pani. Ot zioberkę trochę wędzonych kupiłam. Gdzieby mnie zaś na szynkę stać było, gdzie!

I zaraz zrobiło jej się jakoś niewyraźnie, bo to wczoraj dopiero u spowiedzi świętej była, a teraz kłamie jak z nut... Ano taka to już ułomna natura ludzka, tu się oczyścisz, a tu się zabłocisz...

A tamta wciąż oczyma w garnku dziurę kręci.

— Zioberka... W całym korytarzu pachnie, aż oskoma bierze.

— Wielki Piątek dzisiaj.

— U nas teraz zawsze... wielki piątek...

A w oczach łzy, wielkie łzy...

Nie miło... ech, z cudzego garnka to zawdy pachnie. Nasypała babcia mąki do garnuszka, dodała skibkę chleba, żeby tylko tamta już się wyniosła.

Poszła...

— Hym, mówiła, że w całym korytarzu pachnie... Żle, że ta szynka taka czujna, wszyscy ją zaraz zwietrzają.

Wyszła babcia na korytarz, pociągnęła nosem, pachnie kapusta, śledź, wilgoć, ale nad temi wszystkimi zapachami unosi się lechcząca podniebienie woń szynki...

— Bodaj to... O wa! Na pierwszym piętrze też pachnie, a nikomu oczy nie wyłażą i nikt się nie dziwi.

Na schodach siedzi inwalida, co to po prośbie chodzi i mieszka kątem u tego grajka zpod strychu. Głowę oparł o ścianę, a na sinych ustach ma uśmiech... Aż się złąkła, chory, czy co?

— Jest wam co, panie Dudzik?

Spojrzał ku niej oczyma, co gdzieś wędrowały szlakiem wspomnień i uśmiechnął się jakoś bezradnie.

— Szynka pachnie...

— To z piętra — usiłowała w niego wmówić babcia i dorzuciła z rosnącą pasją: — Wszystkim pachnie.

— Przyjemnie jest chociaż powąchać. Człowiek sobie przypomni smak świat...

— To se pan wachaj!

Wróciła zła do izby, zamknęła drzwi na klucz, spróbowała styliskiem łyżki, czy jeszcze skóra twarda, dorzuciła węglę i znowu zaczęła pacierze.

Pomięszaly się jej...

— Co to za czasy teraz! Żeby mogli, toby człowiekowi do garnka wleźli, a pod drzwiami jakieś szepty. A toż co znowu?

Przyłożyła babka ucho do drzwi. Wyraźnie słyszy dziecięce głosiki.

— Walek, czujesz? Stara szynkę gotuje.

— Pięknie pachnie, aż się flaki skręcają.

— Jadłeś kiedy szynkę?

— I... gapiłem się tam na nią nieraz, jak się wędliniarni panoszyła na pierwszym miejscu, ale jeść? Na pierwszym piętrze też pachnie. Żeby to chociaż skórę dali, byłby bal.

— Ale dadzą ci tam? Pies zji...

— Feluś, chodźmy już, bo aż mnie słabi, tak pachnie.

A co, było nie było, młode lata sobie przypomnę, szynkę kupię, całą szynkę, jak się patrzy, nie jakieś tam zojdki do papierka, jak dla pieska pani doktorowej z pierwszego piętra, ale całą szynkę, jak za czasów, kiedy to jeszcze mój żył...

Westchnęła, wysupłała z węzła ukrytego przezornie w sienniku kilka złotych, zastanowiła się raz jeszcze, machnęła ręką i poszła do wędliniarni.

Przyniosła ją do domu pod chustką, bo przecie nie potrzeba, żeby zaraz wszystkie sąsiadki wiedziały, że babka robi takie nadzwyczajne wydatki. Zarazby ją posądziły, że ma milion w sienniku i jeszczeby się

jaki

bandyta zwiędział i z pałką zasadził. Teraz takie czasy... Nastawiła



Ujęła nóż i zaczęła krajać duże platy

szynki, jak gdyby...

— Bębny zatraczone... — mruknęła babka, ale jakoś bez złości już, a szynka w garnku — bul, bul, bul...

Zupełnie, jakby chciała coś powiedzieć...

Babka różaniec odmawia, a garnek wciąż bełkoce swoje:

— Sama będziesz jeść? A będzie ci to smakowało? Bul, bul, bul... Na stare lata niezdrowo mięso jeść. Można z takim schabkiem śmierć połknąć jak nic... A będzie ci to smakowało, jak tam za ścianą dzieciśka głodne będą płakać? Bul, bul...

— Co mnie tam dzieciśka cudze?

Pukanie...

— Ale to się uwzięli!!

— Pani Rojkowa, jest pani? Nie może tyż pani pożyczyć mi złotego do pierwszego, moja pani?...

A to ta krawcówna z czwartaka. Lubi ją babka, bo taka zawsze wesola, więc otwiera drzwi.

— A panna Andzia, pożyczyć? Może ta i wysupłam...

— Szynka pachnie... O jej!

— Niechże panna siada. Wszystkim szynka pachnie, a ja ziobierka gotuje. Cóż tam, cienko jakosik, kiedy się panna Andzia przyszła złotego pożyczyć...

— Za robotę nie zapłacili. Po świętach. A ja też przecie muszę z czegoś żyć. Et, szkoda mówić, bo się płakać chce. U pani Koratowskiej, to w kuchni torty i bułki i placki, a sześć złotych za suknię, to — po pierwszym. A u pani Gnojskiej to samo... Cieszyłam się, że święta sprawię za moją pracę, a tu masz święta! Mama w dodatku się przeziębila i leży. Kupię za pięć groszy kocanki, żeby było trochę wiosny i chleb, i też będą święta. Żeby tylko mama wyzdrowiała! Bardzo pani dziękuję, pani Rojkowa, a oddam zaraz, jak mi zapłacą.

I już jej niema, zdaleka tylko dola-tuje ej wesola śpiewka.

Babka zajrzała do garnka, spróbowała.. miękka...

Co dnia po troszku — na dwa tygodnie wystarczy smaku...

Wróciła z kościoła w poszumie kromalnych spódnic uroczysta i przejęta...

Za oknem rozplywała się melodia dzwonów.

Ustawiła na stole półmisek ze szynką, chleb, i zabrała się do przygrzewania barszczu. Dobry... w sam raz kwaśny.. tyle lat nie gotowała i utrafiła w sam raz...

Ujęła nóż w rękę, by szynkę zacząć...

— W imię Ojca i Syna...

Zatrzymała się, zadumała, odłożyła nóż...

Sama... umarłych nie wskrzesić... pu-sty stół... i nikogo swojego...

Ścisnął za gardło żal...

Na nic cała uczta, na nic...

Łzy się kulają po twarzy... Sama... Skądś dochodzi płacz...

To pewnie dzieciśka u Tomaszowej... jedliby a nie mają co... a ona ma co, i nie może...

Nie może... a tak się cieszyła... Przez tydzień miało być albo i przez dwa...

Stara jest, to nie potrzebuje dużo. Oziokali, każdemu pachło i ona teraz jakoś nic, ale to nic niema apetytu... nic jej nie pachnie...

A dzieciśka u Tomaszowej beczą... Tyż się wybrały z muzyką...

Oj Jezuu! Jezuu!

A Andzia to sobie kupiła kocanki...

Zdjęła barszcz, nalala do garnuszka, przele-gnała się, chlipnęła trochę i odstawiła...

Przypominają się swoi... Michałby zjadł, a Antoś... Ech...

Zadumała się i nagle ujęła nóż i zaczęła krajać duże płyty szynki, jakgdyby do stołu miało zasiać wiele osób...

Sadowiła ich w myśli: Michał u

czoła stołu, jak gospodarzowi przystało, Antoś obok, córeczka Marychna, co to w piątej wiosnie życia na ospę umarła, koło niej.

U Tomaszów obok jest też Marychna, taka mała, chuda, zagłodzona...

Nalozyla babka na talerz szynki, zabrała barszczu do garnka i poczłapała po schodach na czwarte piętro, zasa-pała się... Zapukała, otworzyła Andzia i cofnęła się.

— Pani Rojkowa...

— Cicho, trochę szyneczki przynio-słam dla mamusi i trochę barszczyku.

— Jaka pani dobra! — Gorące, mło-de usta na jej ręce. — Niechże pani Bóg zapłaci. Proszę wstąpić, razem może zjemy, co Bóg dał...

— Nie mogę dziecko drogie, mam widzisz gości... Uciulałam trochę grosza, szynkę kupiłam, Tomaszów zaproszę...

I już biegnie po schodach, przejęta i wzruszona, z ciepłem tego pocałunku na pomarszczonej ręce.

Stuka do drzwi suteryny obok...

Na chwilę przycichł płacz...

— Kto tam?...

— Pani Tomaszowa, to ja, Rojkowa... Przyszłam was prosić do mnie na święcone... Może się i pan zwlecze jako, pomożemy...

Jasne słońce zagląda do suteryny. Kładzie babusia na kromki chleba ogromne płyty szynki i rozdaje w wyciągnięte rączyny dzieci. O jak też patrzają na nią te oczy, na nią i na szynkę! Aż serce taje, jak ten lód pod promieniami słońca.

— Tylko pomaluśku jedzcie, boście takie zagłodzone, żeby wam nie zaszkodziło — ostrzega matka.



Śmigus.

Maćkiewicz, 1931.

— Nie bójcie się, szynka nie ucieknie. Co zostanie, to zjecie jutro... A prawda, przelećcie ta który po pana Dudziaka, niech i on sobie poje. Zapomniałam, że mu tyż szynka pachła...

I nagle dodaje z zadowoleniem:

— A mnie tyż teraz pachnie, tak jakoś w gromadzie, to i apetyt lepszy. Panie Tomasz, barszczyku, dobry.

Oczy chorego Tomasz patrzają, jakgdyby błogosławiły, wychudłe ręce trzęsą się, podnosząc garnuszek.

A Tomaszowa pochlipuje czasem, ale z radości... Wiadomo, matka a dzieci były takie głodne...

Przyszedł Dudziak i nuż opowiadać dykteryjki różne, jakie to święta we wojnę bywały. Wesolo się stało i gwarno.

Rozeszli się...

— Bóg zapłać, babusiu!...

Na stole została kość, bielutka, czy-sto okrojona, bo mięso zapakowała babka Tomaszowej na jutro dla dzieci.

Tak, na kości ugotuje krupnik, staremu zupka najlepsza. A zrobiła bal, jak się patrzy...

Może to i ostatnie święta...

Uśmiechnęła się babusia i zwiędłe palce zaczęły przesuwac ziarna koronki. Wesolo jej i pogodnie i tak jakoś na duszy lekko.

I nie slychać już zza ściany płaczu głodnych dzieci... Jeszcze wróblom trzeba okruszki wyrzucić do słoneczka, za okno... Niech ta i one...

Zmartwychwstał Pan...

Na Jego pamiątkę chlebem się dzielić trzeba...

Jest jej tak, jakgdyby pierwszy raz zrozumiała słowa Chrystusa i błogo jej, że rozumiała. *Morja Czeska-Mączynska.*

MEKSYKAŃSKIE ME- MENTO

Krew się leje!

Morduje się młodzież katolicką!!!
Zamyka się kościoły — gnębi się księży! Wypędza się ze szkół Boga!!

Rok 1934

21 maja:

Rudolf Calles, gubernator stanu Sonora w Meksyku, syn Plutarcha, zamyka wszystkie kościoły i rozkazuje księżom w ciągu dwunastu godzin opuścić kraj.

3 czerwca:

Gubernator stanu Tabasco poleca usunąć krzyże z nagrobków i grobów.

8 sierpnia:

Meksyk — Aresztowanie 70 studentów i wielu zwolenników generała Antoniego Villareala, oskarżonego o przygotowanie spisku przeciw rządowi.

8 września:

Vista Ermosa — Uzbrojone bądy napadają miasto: 43 mieszkańców w okropny sposób zabito, 60 domów zburzone.

7 września:

Meksyk — Rząd aresztuje ks. jezuitę Pascala Diaza, nie pozwalając odprawić mu mszy św.

25 października:

Chihuahua — Gubernator Rodrigo Quevedo, zamyka wszystkie kościoły w stanie Chihuahua.

11 listopada:

Prokurator generalny wydaje nakaz aresztowania delegata apostolskiego, Manriqueza y Zarate'a, biskupa Huejuilli, fałszywie oskarżonych o podżeganie do buntu duchowieństwa katolickiego.

Meksyk — 5000 studentów w obrzymim pochodzie wyrusza na ulicę, domagając się przywrócenia swobody religijnej. Policja otwiera na nich ogień karabinowy... Mnóstwo ofiar...

30 listopada:

Huizta — W walce z policją ginie 4 katolików a 17 odnosi ciężkie rany, ponieważ zbyt głośno protestowali przeciw okradaniu kościołów z relikwii.

Od 25 listopada do 9 grudnia:

urządza się w starem kolegium jezuitskim wystawę plakatów. Obrazy te to wstrętne naśladownictwo tak zw. „sztuki” sowieckiej, zohydzającej kościół i rodzinę. „Niema Boga”, wołają plakaty, „Biblia kłamie!” „Papież i biskupi to potwory, które należy usunąć z tej ziemi!”

30 grudnia:

Przy wyjściu z kościoła oddział, tak zwanych „czerwonych koszul”, rzuca się z wściekłością na wiernych. 5 katolików, w tem jedna dziewczynka i trzech młodzieńców, zostaje zamordowanych. Mordercy chronią się w pałacu

rządowym, a wszystkie pozostałe wskazują na to, że mordercami kierował minister handlu, Garrido Cannabal!

Rok 1935

W ciągu jednego tylko tygodnia bezbożnicze oddziały „czerwonych koszul” spustoszyły szereg kościołów, a zamordowały 10 osób.

7 stycznia:

Znosi się szereg kościołów, przeznaczając je niby na użytek prywatny i państwowy.

16 stycznia:

Atlixta (Stan Puebla). W politycznej

Plutarch Eljasz Calles

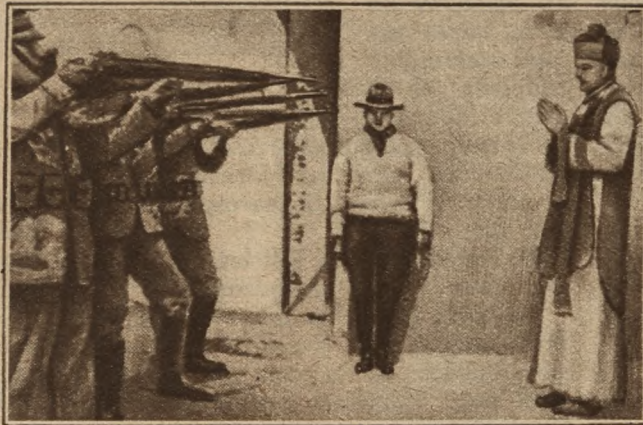
Syn Indjanki i syryjskiego żyda, były nauczyciel szkoły powszechnej, lichwiarz i sługus amerykańskich dolarowiczów 33 stopnia, bolszewik, dusza przekłeta, obciążona krwią męczenników.

Komunista - milioner, właściciel obrzymich, zrabowanych majątków w różnych stanach Meksyku, których wartość w przybliżeniu wynosi 1 miliard i 500 milionów.

Twarz zwierzęca, spojrzenie srogie i ponure, usta grube, jednym słowem wszelkie znamiona zarozumialca, żyda, przepelnionego nienawiścią i chciwością jednostki przeżytej, krwiożerczej, zbrodniczej, znieprawionej i śmiesznej.

Zbrodniarz, który już stracił rachubę swych zbrodni, pajac, który śmie głosić:

„Jestem osobistym wrogiem Chrystusa!” Człowiek dojrzały albo do więzienia, albo na szubienicę.



Wiejski proboszcz, ksiądz Franciszek Véra, odezwany przez żołnierzy od ołtarza, został rozstrzelany na miejscu. Nie pozwolono mu nawet zdjąć szat kapłańskich.

Obrazek dostarczony przez jednego z żołnierzy obecnych przy egzekucji.

OFIARA

20 Tys. ofiar
300 kapłanów
200 młodzi kat.

OFIARA

dzy wojskami rządowymi a katolickimi wieśniakami ginie 34 katolików, a 54 odnosi ciężkie rany. (Dok. str. 252.)

Rozporządził się nienawistnie: Od walki o rozdział Kościoła od Państwa, od walki o wygładzenie religii ze szkół, a skończyło się na tem, że dziś w Meksyku katolicki są nieliczne, przesławione przez gromady najtych bandytów, lecz podopieczne są najniebezpieczniejsze prawa człowieka: a społeczeństwo nienawistnie tyranizowane.



U stóp słupka egzekucyjnego — jeden z niezliczonych młodych, przeszytych kulami, tak jak inżynier L. Segura.

„Dzień nie jest żadnej kuny przyjacielem“

(Ciąg dalszy ze strony 245.)

wiewiórcze gniazda. W pierwszym nie było nic, w drugim nic, w trzecim też nic. „Jeśli tak dalej pójdzie” — deliberował — „to mogę chra-
bąszcze łowić”, i rozdrażniony suwał się od dębu do dębu. Wtem zatrzymał się; pachniało tu bowiem dzięciołem. Tumak wścibia nos w dziuplę; błyskawicznie jednak cofa go, bo oberwał porządnego szcztka od pani dzięciołowej, która nie zna w takich razach żartów. Gdy złotoszyi zmieszany, zbolałym kręci nosem, ona chyżo obok niego wysuwa się z dziupli. Tumak daje susa, lecz zawiódła go tym razem sztuka. „Ale” — pomyślał — „są przecież młode w gnieździe”. Ba! Kiedy dzięcioł nie tak w ciemną bitę, aby wykuwał otwór, którymby się tumak mógł przecisnąć. „Nie, to nie” — syknął z złością rabuś i powędrował dalej.

Zoczył coś, co go zastanowiło. Nie byłóż to gniazdo gołębie? Ależ oczywiście — to jest gniazdo gołębie! Jaja gołębie są dobre, młode gołąbki jeszcze o wiele lepsze, lecz wtedy dopiero, gdy się je ma. Nie udało się bowiem tumakowi i tym razem; klaszcząc lotami, porwała się gołębica wraz z jajami, które dopiero znosić miała.

„No, to innym razem” — pociesza się rabuś; lecz takie filozoficzne rozumowania nie bardzo sycą.

Wtem przypomina sobie, coś. A właśnie! Że też o tem nie pomyślał przedtem! Toć na starym świerku w Koszczyskach zwykli spać starzy kawalerowie rodu grzywaczego. Już nieraz mu się udało złowić tam jednego z nich. Więc do dzieła!

Obok krzyża kamiennego, gdzie leśnika zastrzelono, obok drogowskazu, na którym siedzi sowa uszata i tak żałośnie huczy, jakby cierpiała na ból brzucha — i tumak jest na miejscu. Tam oto stoi stary świerk, wichrami rozczochrany, i smutnie zwiesza poszarpane gałęzie.

Złotoszyi wietrzy naokoło pnia: zalatuje go woń gołębic piór i świeżego pomiotu — a więc są! Tumak zabiera się ostrożnie do roboty, by w śnie pogrążonych brzuchomów-

ców nie pobudzić. Powoli więc suwa się po pniu, skacze bez szelestu od sęku do sęku, omija zgrabnie suche gałązki pierwszego konara, dostaje się szczęśliwie na sąsiedni, potem na trzeci, czwarty i piąty, zatrzymuje się, wciąga na gałąź najbliższą, ima się następnej, skrada się po niej, uwiesza o pień świerku — i zastanawia się.

Tam oto siedzą grzywacze, widać je w świetle księżycowym. Lecz dokoła nich pełno suchych gałązek. Dalej podczajając się nie można, bo niektóre gołębie już nie śpią; słychać, jak wstrząsają suknią, a jeden z nich właśnie na sąsiednią przeniósł się gałąź. A no, w takim razie nie pozostaje nic innego, jak bezwzględny napad. Tumak garbi grzbiet, podciąga barki. Hyc! suche gałązki trzeszczą pękają; hyc! — porosty kory z chrzęstem odpadają od pnia; ostatni raz: hyc! — Grzywacze się zrywają, a on

siedzi na świerku, iskrzącymi ślepiami goni za niemi i słyszy, jak w miarę oddalania się gołębi coraz więcej milknie ich lotów rozgłośnie klaszczenie. Miesiąc w drugiej kwadrze z szyderczym grymasem spogląda na niefortunnego łowcę.

Złotoszyi spuszcza się z drzewa liną wężykowatą. Nie wpadł w złość bezsilną, lecz czuje się zniechęcony, złamany. Wszędzie czuć drobną zwierzyną, a on nie spotyka ani zajączka, ani kuropatwy. Połyka więc chra-
bąszcze w nadziei, że poranek smaczniejszemi obdarzy go kaskami. Już pierwszy drozd pogwizduje w lesie, już pierwszy skowronek wzbija się ku błękitom. Puszczczyk przestał huczeć, żaby przestały rzegotać, a tumak wciąż jeszcze szuka zdobyczy w bródach i ścieżkach na zro-



Tam oto stoi stary świerk, wichrami rozczochrany...
Obok: „Dalej podczajając się nie można, bo niektóre gołębie już nie śpią..”

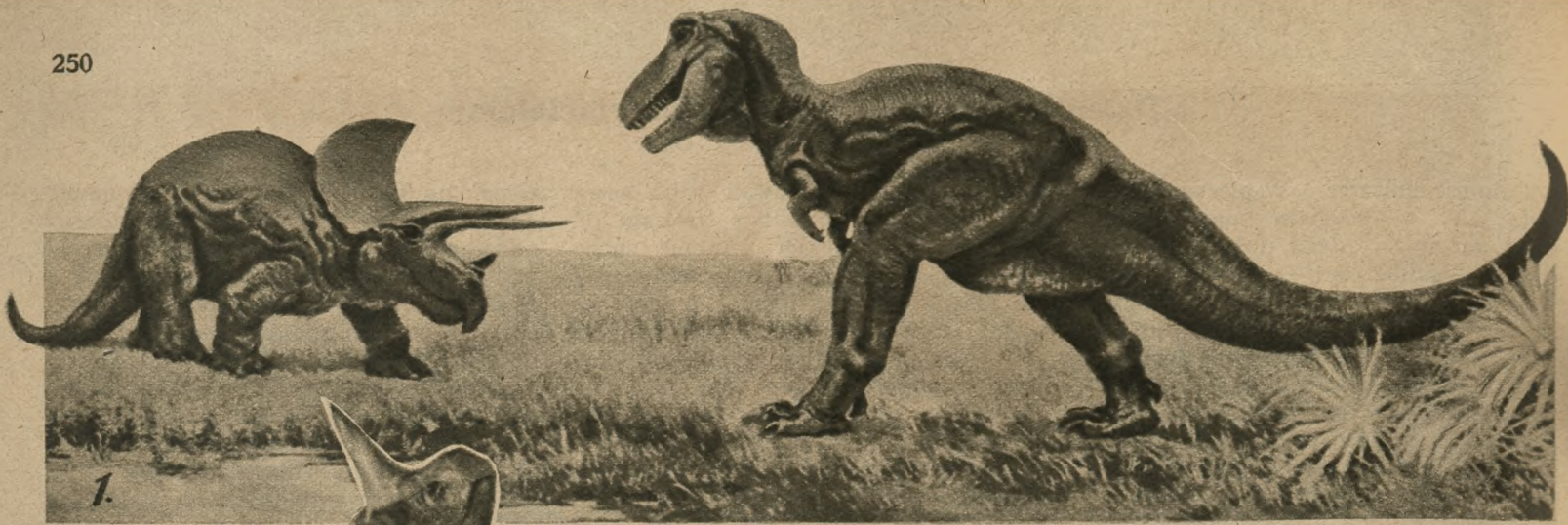


szonem polu — nie spotyka nic, ani chomika, ani zajączka, ani kuropatewki, ani nawet gniazda trzmieli.

Nie ma rady — chociaż pustka w żołądku, czas pomyśleć o powrocie. „Dzień nie jest żadnej kuny przyjacielem”, tak go matka uczyła.

Z trzysta kroków przed lasem zdumiał się i postawił słupka. Cóż to? Przecież ów szary pał poruszył się, i obok pała owe dwa małe cienie także. A teraz z wiatrem uderzyła tumaka woń, której mu matka unikać przykazała, woń ludzka i psia.

Złotoszyi olbrzymim susem rzuca się w mokrą koniczynę; był też największy czas, bo już głos (Dokończenie na stronie 252.)



Potwory świata pierwotnego

Setki tysięcy lat, a może jeszcze daleko więcej, musiały wprawdzie minąć, zanim nadeszła chwila, kiedy Stwórca osadził w raju pierwszą parę ludzi. Świat zwierzęcy w tym olbrzymim okresie przedadamowych czasów zupełnie inny miał wygląd jak wówczas, kiedy prarodzice nasi, pierwsze stworzenia ziemskie o duszy rozumnej, część oddawali Panu i Stwórcy swojemu. Zaludniały ziemię potwory, o których dziś z trudnością tylko potrafimy urobić sobie pojęcie. W porównaniu z nimi obecnie żyjące olbrzymy świata zwierzęcego są poprostu karłami.

Żyły wówczas na ziemi przepotężne jaszczu-

ry, które uczeni dinozaurusami nazwali, potwory kolosalne, pod których stępem ziemia drżała. Dzisiejsze nasze gady, jaszczurki, krokodyle, węże, żółwie — są, w porównaniu z tamtymi pradziadami swymi, wprost śmiesznie zwyrodniałymi wnuczętami.

Podobnie też ssaki, które żyły przed epoką lodową, były straszliwymi potworami, które z Azji poprzez Europę i pustynię śródziemną, jaką wówczas tworzyło dzisiejsze morze Śródziemne, wywędrowały do Afryki. Sionie nasze, nosorożce, żyrafy i inni przedstawiciele

wielkich ssaków dzisiejszych są resztkami tylko bajkowej wprost fauny (świata zwierzęcego) pierwotnej.

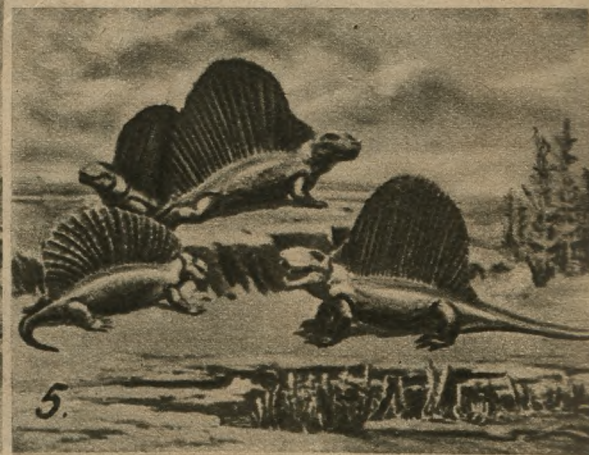
Do takich już bardzo, bardzo dawno wymarłych zwierząt ssących należały kolosy, przedstawione na rycinie pierwszej, podobne do nosorożców, ale większe jeszcze od nich. Z czaszki wyrastały im jakieś potworne i dziwaczne podwójne narośle kostne, które służyły pewnie do wyłamywania z ziemi potężnych korzeni i do obrony.

Na rycinie 2 widzimy prajaszczura, którego przodki zaludniały Mongolję. Młode ich wykłuwały się z jaj, jak za naszych czasów jeszcze młode aligatory i krokodyle. Amerykańskie wyprawy naukowe natrafiły w pustyni Gobi, w środkowej Azji, takie jaja w dużej ilości.

Na rycinie 3 widzimy podobne do niedźwiedzi potwory, które zamieszkiwały Amerykę południową.

Atoli istniały też inne gatunki o paszczach straszliwych, wskazujących na drapieżne ich instynkty. Rycina 4 przedstawia, według rysunku z muzeum w Chicago, początek walki pomiędzy takimi potworami, których sam widok napełnia nas lękiem i przerażeniem. Wydłużonym pyskiem o krokodylowym uzębieniu zaczepia w wodzie żyjący prajaszczur żółwia morskiego, podczas gdy w powietrzu

krażą, jak ptaki niesamowite, jaszczury o kolosalnych błonach lotnych. Niemniej groźnie wyglądają na ry-



cinie 5 olbrzymie dy-
nozaury, podobne bardzo do sie-
bie, a jednak różniące się ogromnie spo-
sobem życia; jedne bowiem żywiły się roślin-
nymi tylko, inne zaś były mięsożerne, a więc
drapieżne.

Siódma rycina przedstawia jaszczura o sze-
ściu metrach długości i trzech przeszło
metrach wysokości. Był więc o wiele
większy od słonia.

Resztki szkieletów tych potworów
znaleziono w Ameryce Północnej i w
Anglii.

Zwierz ten żywił się roślinami. Jego
pancerz, składający się z olbrzymich
łusek rogowych, służył mu ku obronie
przeciw napaściom drapieżnych dyno-
zaurów. U końca ogona wystawały
cztery potężne kolce.

Gigantyczny jaszczur, którego widzi-
my na rycinie 8, należał do najwięk-
szych zwierząt, jakie kiedykolwiek
istniały. Długość jego wynosiła 25 me-
trów. Przeszło sto kręgów składało
się na jego kolosalny stos pacierzowy,
kończący się długim, po ziemi wleczo-
nym ogonem. Gigantyczny ten smok,
to może pradziad legendarnych smo-
ków, a może i tego, którego zabił miał
Krakus.

Od czasu do czasu gazety nasze przy-
noszą wieści o potworach morskich,
które i dziś jeszcze ukazywać się mają
podróżnikom morskim, albo o jakichś
niesamowitych, zamieszkujących nie-
dostępne bagna smokach, o których
krajowcy afrykańscy i południowo-
amerykańscy opowiadają, zapewniając,
że szerzą ogromne spustoszenia i za-
bijają ludzi i zwierzęta. Żaden jednak
badacz poważny nigdy stworzeń tych
nie widział jeszcze. Choć nie jest wy-
kluczone, żeby potwory takie utrzy-
mały się w nielicznych egzempla-
rach do naszych czasów, to je-

dnak ma-
ło praw-
dopodob-
nem się zda-
je, aby kolo-
salne zwierzęta o 20 do
30 metrów długości. lecz
o nikłej, jak wspomnieliś-
my inteligencji, przetrwać
potrafiły straszliwe wstrzą-
sy, jakie od czasu do czasu
nawiedzały naszą planetę.

A skąd wiemy, że takie ol-
brzymy istniały kiedyś na zie-
mi i jak wyglądały? Dowody
ich bytu przechowała ziemia.
Jej warstwy, które na sobie ukła-
dały wieki, są jakoby kartami
księgi jej dziejów. Gdy człowiek
zapuszcza się w głąb ziemi, albo
gdy wstrząsy podziemne odsłonią
jej wnętrze, wtedy w tych wiekami
układanych warstwach, jak zapiski
na kartach dziejów, pokazują się
kości, które uczeni składają w ca-
łość i umieszczają po muzeach. Nie-
dawno, bo w nr. 5 Przew. Kat., daliśmy
obrazy takich szkieletów i kości. Jest
więc dowód olbrzymiej wielkości tych
jaszczurów i dowód ich kształtu, a różne
odbicia w pokładach skalnych dają wy-
obrażenie o ich okryciu, o ich wyglądzie
zewnątrznym. I choć niema tego świata, mo-
żemy sobie odtworzyć postaci jego mieszkań-
ców. *Len.*

Inne gatunki jaszczurów praświata
zamieszkiwały nie tylko ląd, lecz umiały
także podbić sobie wodę i powietrze. Skrzydła,
(rycina 6), podobne do skrzydeł naszych nietoperzy,
unosily te potwory w powietrze, ale skrzydła,
wyolbrzymione do potwornych rozmiarów, i tem
jeszcze różniące się od błon lotnych naszych nie-
toperzy, że zajmowały całą przestrzeń między ka-
dłubem a niesamowicie wydłużonym palcem
ostatnim. Wszystkie te olbrzymy posiadały
uderzająco drobny łeb, z czego wnio-
skują uczeni, że ich zmysłowość
nie mogła być wysoko
rozwinięta.

MYŚLI

Gdy pytał ludzi o największy
cud,
mówili: Nie było nieba, ziemi,
gór, ni drzew, ni słońca, ni
księżyc a —
był tylko jed-n wszechmocny
Bóg —
źródło cudów, największy cud.
(Z 9-go wieku.)

„Dzień nie jest żadnej kuny

(Dokończenie ze strony 249.)

jakiś syczy: „Bierz go“, i już rabuś słyszy za sobą szybkie dyszenie; szuka więc ocalenia w gęstym krzaku jeżyny. Lecz psy nie zważają na ciernie. Tumak wypada spod krzaka jak z procy i znika w przesmyku mostowym. Jamniki rwą za nim. Na mostku coś straszliwie dudni. Więc on drugim wyłotem przesmyku chce umykać, lecz nie może, bo tu już pilnuje drugi jamnik. Nagłym zwrotem usiłuje psa przewrócić i ponad nim wydstać się z matni. Jamnik ciał go kłami, lecz sam zaskowyczał, bo ostre kleszcze



„Blysk Wronigrom, sokół wędrowny, poblednie i zzielenieje z złości, gdy...

przyjacielem“

chwycił go za fafle. Wtem drugi pies wpił się w gardło tumaka. Kłęb szamocących się wrogów wytacza się z przesmyku. Rabuś szarpany z przodu i tyłu czuje, że nadchodzi dlań koniec wolnych łowów w lesie i polu, koniec swobodnej za towarzyszką gonitwy po skałach i koronach drzew. Zanim stracił przytomność, raz jeszcze przychodzi mu na myśl przestroga matki: „Dzień nie jest żadnej kuny przyjacielem, jedynie noc miła jest i bezpieczna“.

Loens-Niedbał.

Mazurek wielkanocny

Hej, mazurek wielkanocny

Ma przeróżne zwrotki,
Lecz sens zawsze ich jednak:

Słodki, słodki, słodki.

Z marcepanu, czekolady,

Masy lub szarlotki

Jest mazurek ten przemiły

Słodki, słodki, słodki.

SĄSIEDZI

Ujrzałem serce człowieka, i w niem dwie izdebki obok siebie. — Dwóch mieszka w nich sąsiadów, którzy z niechęcią patrzą na siebie. — W pierwszej radość — a w drugiej ból. — Gdy w pierwszej z blaskami wschodzącego słońca zbudzi się radość i wita dzień śpiewem i weselem — w drugiej gładzi się do snu ból, zmęczony długim czuwaniem.

Radości słodka! ciszej! ciszej! nie mów tak głośno, nie śpiewaj tak serdecznie, bo zbudzisz sąsiada, który czujnie i lekko śpi.

Radości słodka! przyjdź i rzuci cicho kwiaty pod nogi sąsiada.

Może, gdy się obudzi, weźmie je do ręki — twoje wonne, błogosławione kwiaty. X. Ewaryst Nawroński

Meksykańskie memento

(Dokończenie ze strony 248.)

24 stycznia:

Wieśniacy z okolic Rancho-Campo i Villa-Union przeciwstawiają się bezbożniczemu zarządzeniom. W walce ginie 10 wieśniaków, a ze strony przeciwnej 6 żołnierzy.

26 stycznia:

Pierwszy „Czerwony tydzień“. Po raz pierwszy oddział bezbożniczy pali publicznie przed ministerstwem poczt, obrazy świętych. Temu zaś niesłychanemu bluźnierstwu przygląda się minister rolnictwa!

Meksyk. — Siostry zakonne zmuszone zamknąć przytułki dla starców opuszczają na zawsze Meksyk.

Meksyk. — Oddziały „Czerwonych koszul“ domagają się od ministra Cannabala nowych zarządzeń prześladowujących katolików.

Nasze wielkanocne obrazy

„A po szabacie, gdy w niedzielę świtać zaczynało, powstało wielkie trzęsienie ziemi. Albowiem Anioł Pański zstąpił z nieba, a zbliżywszy się, odsunął kamień i usiadł na nim. I była postać jego niby błyskawica, a jego szaty białe jak śnieg“. (Mat. 28, 1, 2.)

Tę chwilę wyobraził artysta-malarz w swoim obrazie. Anioł białoskrzydły, w szatach białych jak śnieg, jaśniejący blaskiem jako błyskawica, siedzi na krawędzi. Lewą ręką wskazuje na grób, prawą wznosi ku górze. Widać, że przemawia do kogoś — my wiemy, że mówi do niewiast — że komuś objaśnia tajemnicę Zmartwychwstania.

Niewiasty, które z taką miłością i z takim uwielbieniem słuchały nauk Chrystusowych i z takim poświęceniem Mu służyły, spotkał ten wielki zaszczyt, że pierwsze usłyszały od anioła radosną wieść o Zmartwychwstaniu Pańskim i pierwsze na polecenie Anioła miały o tem zawiadomić uczniów Chrystusowych.

„Wy się nie bójcie! — mówi do niewiast. — „Wiem bowiem, że szukacie Jezusa Ukrzyżowanego. Nie masz go tu, albowiem powstał

z martwych, jak zapowiedział. Chodźcie, zobaczcie miejsce, gdzie leżał Pan“.

A więc Chrystusa, gdy zmartwychwstał i płytę kamienną ciałem Swem uwielbionem przekała, by wyjść z grobu, nie widziało żadne oko ludzkie. Zmartwychwstał samowładnie, mocą Boską, nie rozbijając kamienia, ani go przesuwał. Wyszedł z grobu, poprzez kamienną płytę, tak jak niezadługo wejście do zgromadzonych apostołów mimo drzwi zamkniętych.

Tę samą chwilę inny artysta inaczej przedstawił (patrz strona ostatnia).

Widzimy przedsiónek grobowca wykutego w skałę. Z prawej strony widać część kamienia grobowego, o którego odsunięcie troszczyły się tak bardzo spieszące do grobu niewiasty. Nie wchodzi one do grobu. Zatrzymują się w przedsióniku. Boją się wejść do wnętrza, bo wewnątrz zalane blaskiem a w blasku postać młodzieńca w białych jak śnieg szatach z ręką podniesioną w górę. Właśnie młodzieniec przemówił do niewiast o Zmartwychwstaniu. — Zdumienie i lęk ogarniają niewiasty. Ta

z misą napełnioną wonnościami do namaszczenia ciała Chrystusowego przyklekła z boku i wychylając głowę z poza kamienia grobowego patrzy we wnętrze grobu i z ciekawością słucha słów Anioła:

„Nie trwóćcie się! Szukacie Jezusa Nazareńskiego, ukrzyżowanego? Powstał z martwych, niemasz Go tu. Oto miejsce, gdzie Go złożono!“

Obok niej kłęczą druga z rękami złożonymi, a na twarzy jej już poczynają malować się zdumienie i radosna niepewność, na co wskazują otwarte usta i oczy białe w Anioła, głoszącego niesłychaną nowinę Zmartwychwstania.

Trzecia jak i poprzednia w ciemnej, a może w czarnej, żalobnej szacie nie patrzy w grób. Oczy jej patrzą w siebie, myśl jej daleka, jakby zapatrzona w wyobrażenie zmartwychwstającego Pana. Ona najsilniej może ze wszystkich widzi w wyobraźni cud i usiłuje pojąć tajemnicę Zmartwychwstania. Świadczy o tem jej wzrok i jej ręka, przyciskająca skroń — zwykły ruch osób, które nie mogą sobie zdać sprawy z natłoku i niezwykłości myśli. (Patrz tekst biblijny na stronie drugiej.)

Nasze listy i odpowiedzi

Wp. Pi. Tad.: Sprawa małżeńska. Należy odróżnić omyłkę co do osoby od omyłki co do przymiotu osoby. Omyłka co do osoby zachodzi wówczas, gdy ktoś zamierzał zawrzeć małżeństwo nie z tą osobą, którą obok siebie widzi, lecz z zupełnie inną osobą, np. zamierzał zawrzeć małżeństwo z Wandą a przez pomyłkę (spowodowaną bądź podstępem, bądź przypadkiem) zawarł małżeństwo z Jadwigą. W takim wypadku małżeństwo byłoby

nieważne. Jeżeli zaś ktoś zamierzał zawrzeć małżeństwo z osobą, którą obok siebie widzi, małżeństwo jest ważne, chociażby zawierający związek małżeński pomylił się co do przymiotu drugiej strony, np. był przekonany, że to kobieta pochodząca z prawego małżeństwa, a tymczasem jest ona pochodzenia nieslubnego; był przekonany, że nazwisko jej brzmi tak, a tymczasem brzmi ono inaczej; był przekonany, że to kobieta bogata, a tymczasem jest ona biedna. — Kl. A. Śl. Rzym. Ks. Biskup Felczar „Zwyczaże towarzyskie dla osób duchownych“ 1.50 zł. Nabyć

można w Księgarni św. Wojciecha. Poznań, Pl. Wolności 1. — T. Karł. Kruszewica. Odpowiedź nadejdzie z Caritasu. — P. R. Sram. Owszem, w nowej konstytucji jest zachowana chrześcijańska przysięga Prezydenta, zachowane są także bez zmiany artykuły o Kościele i religii. — Stały Czyt. Pleszew. Prosimy o adres celem przesłania odpowiedzi. — J. Siatkowska. List postaliśmy do p. Siatkowskiej — Śniatyń. Kochanemu i gorliwemu czytelnikowi przyrzekamy poprawę! Skazujemy Kostuchę na długą banieję! Przyznajemy słusność!

Z TYGODNIA: zamiast 75% tylko 59%

Wybory gdańskie

Po raz szósty, odkąd istnieje wolne miasto Gdańsk, odbyły się tam wybory do sejmu. Rządy w Gdańsku są w ręku hitlerowców; głównym kierownikiem całej polityki hitlerowskiej jest Albert Forster, nawet nie Gdańczanin, lecz obywatel niemiecki. Wybory hitlerowcy urządzili dlatego, że byli źli na centrowców, którzy posyłałi skargi do Ligi Narodów na ucisk ze strony hitleryzmu. Otóż hitlerowcy sądzili, że uda im się uzyskać wielkie zwycięstwo przynajmniej 68 proc. wszystkich głosów większości, czyli dwie trzecie. A posiadając taką większość, będą mogli prawnie zmienić konstytucję gdańską w duchu czyśto hitlerowskim (znieść partje, znieść wolne słowo). Podejrzrywano ich, że chcieli też ogłosić przyłączenie Gdańska do Niemiec.

Najwyższa agitacja

Aby zapewnić sobie walne zwycięstwo, hitlerowcy zaprosili na czas przedwyborczy wielkie i mniejsze ryby z Niemiec, jak ministrów Hessa, Goeringa, Goebbelsa, oraz Streichera i innych. Wszyscy ci mężowie dowodzili tłumom, że tylko głosując na listę hitlerowską, Gdańczanie okażą, że są Niemcami. Ministrowie niemieccy unikali zaczepki Polski. Oświadczałi nawet, że umowa polsko-niemiecka z r. 1934 o wzajemnym nienapadaniu będzie święcie dotrzymana, że Gdańsk musi narazie pozostać taki, jaki jest, to jest odłączony od Rzeszy. Jednakże miejscowi hitlerowcy licznymi napastkami na Polaków, prześladowaniem polskiej „Gazety Gdańskiej” wykazywali tylko nienawiść do samej Polski. W wyborach wzięło udział 99 proc. wyborców.

Wyniki wyborów

I cóż się okazało? Hitlerowcy zyskali 59% (chcieli się, że zdobędą 75% i staną się w zupełności panami Gdańska) wszystkich głosów,

41% głosów padło na socjalistów, centrowców, narodowców niemieckich, komunistów i Polaków. Hitlerowcy dostali 139 tysięcy głosów, socjaliści 38 tys., centrum 31 i pół tys., komuniści 8 tys., narodowcy niemieccy 10 tys., a Polacy 8325. W porównaniu z wyborami do sejmu gdańskiego, które się odbyły w r. 1933, socjalistom przybyło nieco głosów, centrowcom trochę ubyło, komuniści mocno spadli, Polacy zaś zyskali półtora tysiąca głosów. Polaków w Gdańsku jest o wiele więcej, niż się wydaje na podstawie tego głosowania, mianowicie są to Polacy bez obywatelstwa gdańskiego, urzędnicy przeważnie. Ci, co głosowali na listę polską, byli w większości Kaszubami, czyli rdzenną ludnością północno-pomorską. Ostatecznie do sejmu gdańskiego wejdzie jak poprzednio razem tylko 2 Polaków.

Bez zmiany

Hitlerowcy, niezadowoleni z wyborów, dają do zrozumienia, że urzędzą nowe. W każdym razie oni trzymają ster władzy i nie tak łatwo dadzą go sobie wydrzeć.

Zadowolenie z porażki hitlerowców

Wybory gdańskie zaciekały Europę. I przyniosły zadowolenie Austriakom, Anglikom i Francuzom. Wszyscy oni twierdzą, że niepowodzenie hitlerowców gdańskich jest niepowodzeniem samego Hitlera, który za pośrednictwem swych ministrów wniósł się do walki wyborczej w Gdańsku. Szczególnie Austriacy jako katolicy cieszą się, że centrum gdańskie nie dało się złamać, i czerpią stąd otuchę, iż ogół katolików austriackich pozostanie wrogi hitleryzmowi.

Zjazd w Stresa

Ważniejsze od tych wyborów jest stanowisko trzech mocarstw wobec Niemiec. Pod przewodnictwem Mussoliniego zebrałi

się we włoskiej miejscowości Stresa, leżącej nad jeziorem Lago Maggiore (Madzore) ministrowie angielscy Mac Donald i Simon, francuscy Laval i Flandin na narady, jak obronić pokój w Europie. Niema ścisłej zgody co do tej obrony między Anglią, Francją i Włochami.

Trzy polityki wobec jednego przeciwnika

Najdalej idą Włochy. Z obawy o Austrię i o swoje granice Włochy chcą rzeczywistej współpracy wojskowej mocarstw i łącznej obrony niepodległości Austrii. Francja waha się między obroną pokoju zapomocą Ligi Narodów a zapomocą sojuszu z Rosją. Anglija przychyliła się do obrony pokoju zapomocą Ligi Narodów, przeciwna jest jednak sojuszowi francusko-sowieckiemu, który może przyspieszyć wojnę z Niemcami. Anglija chce zostawić wolną furtkę do współpracy pokojowej Niemiec z Europą; Liga Narodów na polu ściśle wojskowym niewiele zdziałałaby przeciw Niemcom. Mogłaby zato szybko zastosować blokadę napastnika, czyli odciąć go od przywozu z innych krajów.

Nikt nie wie, kiedy i gdzieby uderzyli

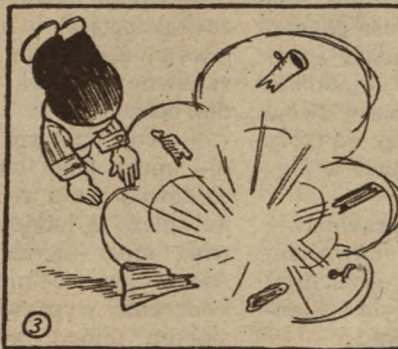
Słabością trzech mocarstw jest to, że żadne nie chce wojować z Niemcami. Wojna dla tych mocarstw byłaby najprzykrzejszym musem. Zwłaszcza Anglija nie chce się wiązać na śmierć i życie ani z Francją, ani z Włochami, z obawy, że „koszta wojny” (czytaj bomby z samolotów niemieckich) spadną na Londyn. Już dziś Niemcy mają flotę powietrzną równą angielskiej. Co więcej, Niemcy są w tem dogodnym położeniu, że mogą wybrać najsłabszy lub parę słabych punktów i uderzyć na nie, licząc, że w razie szybkiego ich zajęcia inne państwa (Anglija!) uznają, że to, co zajęły Niemcy, już jest nie do odebrania. A nikt nie wie, w jakim kierunku uderzyliby Niemcy.



Niech się co chce dzieje,
Muszę skończyć z krukiem!
Zagram mu na pogrzeź
Dynamitu hukiem.



Chowam się za kamień,
Broń na głazie wsparta...
Mierzę... Wnet się zamknie
Kruczych figlów karta!



Hukło jak z armaty,
Rozerwało rurę,
Razem z jej drzazgami
Wyleciałem wgórę.



Czarny jak kominiarz,
Łzy ze złości leje,
A ten lotr się ze mnie
Na cały dziób śmieje.

Skończyć z krukiem!

„PRZEWODNIK KATOLICKI” ILUSTROWANY TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH z bezpłatnym dodatkiem dla dzieci „MAŁY PRZEWODNIK” oraz z osobnymi działami „ROLA I OGROD” i „SPRAWY KOBIECE”.

Przedpłata kwartalna wynosi za egzemplarze osobniczo odbierane w ekspedycji naszego pisma i agencjach poznańskich 1,80 zł. Za egz. wysyłane wprost z Administracji w opasce pod adresem imiennym, w ilościach od 1 do 9 egz. po 2,70 zł, od 10 do 59 egz. po 2,35 zł, od 60 egz. wzwyż po 2.- zł za egz. — Dla abonentów pocztowych (bez opaski) przedpłata kwartalna wynosi 2,34 zł, miesięczna 78 groszy, dwumiesięczna 1,56 zł łącznie z kosztami manipulacyjnymi.

Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 084 „Przewodnik Katolicki”.

W sprawach dotyczących rekwizycji i treści pisma prosimy zwracać się wyłącznie do Redakcji, w sprawach odnoszących się do przedpłaty, ekspedycji, pokrycia należności oraz ogłoszeń — wyłącznie do Administracji „Przewodnika Katolickiego” w Poznaniu, Al. Marcinkowskiego 22, nie zaś pod osobistym adresem X. Redaktora.

Redaktor odpowiedzialny: X. Franciszek Forecki w Poznaniu. — Za reklamy odpowiedzialny: Ignacy Domanski w Poznaniu.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagania się niedostarczonych numerów lub odszkodowania. Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu — na papierze z własnej fabryki papieru „Malta”.

Telefony 26 78, 22 41, 36 13, 36 14, 31 27.

Pokazał na swój mundur, na plecak, na buty, aż po kostki uwalane błotem.

— A teraz, czy myśl ta ci wraca?

— Wraca mi ciągle. Myślałem teraz o tem więcej, niż przez te wszystkie lata. Prawda, że i okoliczności sprzyjały. Naprzykład 14-go listopada, gdyśmy szli do ataku...

— Nie rozumiem.

— Rozwazałem sobie to, co do księdza mówił mój ranny kapral. Klęczał ksiądz koło niego...

— A, to ty byłeś! Tom ja do ciebie wołał: Wynoś się.

— Tak, to byłem ja.

— Wszak nie mogłeś słyszeć tego, co mówił?

— Powtórzył mi to sanitariusz. Całą noc potem oka nie zmrużyłem, tak mi te słowa umierającego poruszyły serce.

— A co mi powiedział ten mój biedak, któregoś już martwego doniósł do schronu? Czy czasem sanitariusz nie wymyślił sobie czego?

— O, nie! takich rzeczy się nie wymyśla! To zanadto piękne. Ten biedak miał brzuch rozdarty odłamem granatu; krew bluzgała na niego, na księdza...

— Są jeszcze jej ślady na sutannie...

— Tak mi go było żal! Biedak! Nie mogłem patrzeć jak z niego wnętrzości wypadały. I tylko dlatego odszedłem, nie dlatego, że mi ksiądz odejść kazał. On tymczasem konał. Zostało mu już tylko parę chwil życia. I wtenczas powiedział podobno tak: „Cierpię strasznie... ale przyjmuję wszystko... przyjmuję ochotnie śmierć, aby przez nią okupić powołania kapłańskie spośród żołnierskich szeregów...”

Ksiądz pobladł na to wspomnienie, czyniąc potakujący ruch głową:

— Tak jest; wszystko to prawdą.

I czekał dalszego opowiadania, aby się przekonać, czy wszystko wiernie w okopach powtórzono. Andrzej zaś ciągnął dalej:

— Potem jeszcze mówił do księdza:

— Gdyby nie wojna, byłbym już otrzymał święcenia. O dniu wielki i święty! Jakże go oczekiwałem!... Bóg chciał inaczej... — Głos jego przygasał. Ksiądz się nad nim pochylał, sanitariusz również. Bo dokoła was był piekielny huk strzałów; usłyszał wtedy ksiądz jego ostatnie słowa: — Księżo, niesłusznie tak mówiłem... Oto sam Bóg udzielił mi święceń... przed chwilą... Pierwsza moja msza... odprowadzam ją własną krwią... jak Chrystus... — Słowa te powtórzono mnie i czterem mym kolegom, ale mnie wryły się szczególnie w sercu i w pamięci, jakby to zwierzenie uczynione zostało dla mnie...

Kapelan ujął obie ręce Andrzeja i trzymając je w swych dłoniach, modlił się za syna Jana Maguern i jego żony Marji. Potem wstał. Pukano do drzwi.

— Jeszcze słówko! — rzekł Andrzej.

— Nie powiedziałem wszystkiego. Księżo kapelanie, widzę, że się ksiądz ze mnie nie śmieje, gdy mu wyjawiam moją chęć zostania księdzem?

— Zobaczymy się jeszcze. Pamiętaj o tem i ja będę pamiętał.

— Co do mnie, to niema obawy. Ale czy to jest wogóle możliwe?

— Możliwe, jeśli się nie odmienisz, możliwe, jeśli wytrwasz.

— Ale nie mam pieniędzy.

— Pieniądze to rzecz najmniejsza.

— Nie uczyłem się, a w moim wieku głowa do nauki twarda.

— Głowa twarda? tak, to prawda. Będiesz się musiał pobiedzić... Ale wszak nieraz rozbijałeś twarde bryły ziemi... rozbijesz i tę. Ja ci pomogę; i będę ci się przyglądał. Jeśli z ciebie będę zadowolony, to się zacniemy uczyć łaciny.

— Gdzie i kiedy?

— Niedługo; tu na froncie.

Weszli żołnierze. Andrzej oddalił ich ruchem ręki, a pochylając się ku księdzu, wyrzekł z twarzą pobladłą, z wyrazem uroczystym, jaki mieć musiał wówczas w dziesiątym roku życia, w stodole przy sianie.

— Potrzeba będzie cudu... Spotkamy się niedługo... myślę, że nie polegne i że...

Wyszedł nie kończąc.

W dwa miesiące potem, w miejscu odpoczynku, na małym wzgórzu nad Marną, kapelan pułkowy i szeregowiec siedzieli obok siebie w cieniu sosny; ksiądz zaczynał z Andrzejem Maguern lekcje łaciny. Daleko słyhać było strzały armatnie.

Piękne dni marca jasne już bywały jak w lecie. Powietrze tylko chłodniejsze i zieleni pokrywająca ziemię młoda i delikatna. Na pochyłości wzgórza, tam w dole, stary wieśniak, poganiając co chwila przystającą szkape, znać brunatne bruzdy pomiędzy rzędami winnych szcepów. Ksiądz mówił, otwierając podręcznik szkolny:

— Łacina to dziwny jest język. Posiada ona tyle różnych układów jednego wyrazu, ile ten wyraz ma ról do spełnienia. Ale dowiesz się o tem wszystkim z gramatyki. Udało mi się zdobyć dla ciebie ten podręcznik; bierz go.

Polityka na Wielkanoc

Mam kumotra, który okrutnie lubi politykę. Skoro tylko przyniosą gazetę, zakłada na nos wielkie okulary i zaczyna studjować najświeższe wiadomości, dodając od czasu do czasu swoje uwagi, ani mędrsze ani głupsze od tych, które głoszą wielcy dyplomaci w Genewie.

Ongi zastałem go w prawdziwie szweskij... przepraszam: w obuwniczej pasji. Cisnął gazetę o stół, grzmotnął w niego pięścią, aż podskoczyła szklanka z herbatą i zaczął wyzywać:

— A łajdaki, a faryzeusze!

Próbowałem go mitygować:

— Kumie drogi, nie gniewajcie się, bo wam się od złości w wątrobie kamienie ulegną.

— Jakże się nie gniewać, kiedy w polityce dzieją się takie przewrotne i głupie rzeczy.

— Co mianowicie?

— Oto czyta'cie. Przyjeżdża do Moskwy ten elegancki minister angielski, Eden, a bolszewicy wyprawiają mu wspaniałe przyjęcie i częstują kawior, winem i różnymi innymi frykasami.

— Czemu nie mają częstować? Wszakże kawior jest u nich produktem krajowym, a wino po części także. Więc zapewne wydatek nie był zbyt wielki dla bolszewików.

— Tak mówicie? A własny ich naród musi głód cierpieć! Toż dopiero niedawno temu znieśli u siebie kartki na chleb; a ludność zamiast słodkiego wina musi nieraz łykać gorzkie łzy. Ale to jeszcze nie najgorsze. Na zakończenie wyprawili bolszewicy królewskiemu ministrowi wielki balet z tańcowaniem i skakaniem, a muzyka grała — czy uwierzycie, co grała? — oto grała hymn angielski: „Boże, chroń króla!” A zebrani bolszewicy klaskali do tego z wielkim zapałem.

„Boże, chroń króla!” A tymczasem bolszewicy u siebie dawno już wyrzekli się Boga, nie pozwalają nawet o nim wspominać pod grozą więzienia i srogich kar.

„Chroń króla!” A tymczasem własnego króla czyli cara razem z żoną i dziećmi wystrzelali przez jedną noc w piwnicy ich więzienia sybirskiego. A

ten zamordowany car był nawet krewnym — zdaje się, że kuzynem — króla angielskiego, na którego cześć trąby bolszewickie grają: „Boże, chroń króla!”

Czy to nie jest wszystko bardzo głupie i pokrecone i faryzejskie? Ładna to polityka, która jedną ręką głaszcze, a drugą morduje.

Biedny mój kumotr aż zadyszał się z irytacji. Ale ja pomyślałem sobie, że podobne rzeczy niestety dzieją się też gdzieindziej, może nawet w naszej własnej ojczyźnie.

Jak to mówią stare nasze, mądre przysłowia: „Modli się pod figurą, a ma diabła za skórą”. Albo: „Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek”.

Czy nie bywały u nas takie przykłady, że zacny nasz lud idzie na nabożeństwo do kościoła, modli się pobożnie, śpiewa i płacze, a po nabożeństwie — idzie na wiec socjalistów lub komunistów, gdzie wyzywają na Kościół, wiarę i księży, a zebrani krzyczą: brawo! na pohybel! i podobne grzeszne wykrzykniki.

I dlatego od owego dnia marcowego nosił Andrzej w swym plecaku małą gramatykę łacińską, kajecik i ołówek. Koledzy jego widzieli, że o ile nie stoi na warcie lub nie spożywa posiłku, to zawsze czyta; ale na to nie zwracali większej uwagi. Nie znali jego tajemnicy. I w fermie w Penmur nikt jeszcze o niczem nie wiedział; nadszedł jednak czas, aby ich powiadomić.

VIII.

Narada u wdowy Voilier

Czy to z okopów, czy z kwater od poczynkowych pisywał Andrzej dotychczas listy krótkie i jakby nieosobiste. Zawsze też pamiętał dodać słówko pozdrowienia „dla mojej kuzynki Anny“, która tym nie znaczącym wyrazem nadawało czułość i serdeczność, jakich w nich nie było.

— Jak wróci — marzyła — to nam wnet obojgu dzwony weselne zadzwonią...

Jedna tylko osoba w rodzinie znała nawskroś duszę tego Bretończyka, który potrafił długo nosić w sobie jakieś pragnienie, a potem wyrzec go się nagle i bez wahania z chwilą, gdy doskonałszy poznać mu dano ideał: osobą tą była matka. Andrzej podobny był do niej. Wielu mężczyzn starej tej rasy opuszczało rodzinne fermy, rodziców i przyjaciół, aby wstąpić do służby morskiej. Wielu innych opuszczało dawnymi czasy wybrzeża Bretanii^{*)}, aby po

^{*)} Bretania, północno-zachodni półwysep Francji między kanałem La Manche (czyt. La Mansz, co znaczy Rękaw, bo kanał podobny do rękawa) a oceanem Atlantyckim. Bretanię zamieszkuje Francuzi pochodzenia celtyckiego. W czasach starożytnych Celtowie przebyli kanał i zajęli dzisiejszą Anglię i Irlandję. Przeważna część ludności Irlandji i zachodnich części Anglii jest pochodzenia celtyckiego. Celtołowie, wychowywani w czasach pogańskich przez kapłanów, zwanych druidami, odznaczali się wielką religijnością, przywiązaniem do dawnych obyczajów, siłą woli i prawością charakteru. Odznaczają się tym i dzisiejsi Bretończycy.

Albo inny przykład: Pocziwa rodzina katolicka. W jednym pokoju widzisz krzyż, obrazy święte, klęcznik i różaniec. W drugim zaś, zaraz obok, wiszą na ścianie grzeszne nagusy, na stole leżą gorszące ilustracje, a między książkami różne utwory, pełne zgorszenia lub niedowiarstwa. A w tym domu są przecież małe dzieci, przychodzi z wizytą młodzież! Jakże łatwo o zgorszenie, szczególnie tych niewinnych, młodzieńczych dusz!

Jeszcze inny przykład: Wracam z kościoła w gronie znajomych. Braliśmy udział w procesji z Najsw. Sakramentem, gdzie śpiewaliśmy z zapalem: „I tę moc dał kapłanom, nie królom, ani panom“. W towarzystwie naszym były też dwie młode panny, które w drodze zawzięcie o czemś dysputowały.

— O czemże panienki tak rozprawią? — zapytałem.

— O tem, czy ja mam się wpierw kłaniać księdzu wikaremu, czy też ksiądz wikary mnie.

— Niby dlaczego? O co chodzi?

— Bo ja jestem w towarzystwie naszym przeska, a ksiądz jest asystentem.

— Oj ty kozo! — pomyślałem sobie, ale głośno powiedziałem tylko tyle:

tamtej stronie kanału szukać jednego z owych dawnych klasztorów, ku którym troska o chwałę Bożą i zbawienie duszy wiodła setki owych prawdziwych chrześcijan celtyckich. Ten sam głos wewnętrzny, niegdyś prawie niezrozumiały, teraz zaś pewny i wyraźny, dał się słyszeć włościańskiemu synowi zpod Muzillac.

List od Andrzeja! Przyniosła go w niedzielę z miasta matka, która była na sumie. Najpierw w książce, potem w rękę, przyciskając go co chwila do serca, niosła nierozpieczętowany jeszcze list z napisem: „Poczta polowa“ i z adresem: „Do pani Marji Maguern“... Matka nie lubiła, aby ktoś za nią otwierał jej listy, a tego dnia zapomniała zabrać z sobą okulary w czarnej rógowej oprawie.

Było już blisko południa. Matka weszła do wielkiej izby, rzuciła okiem na kotłnię, aby się upewnić, że rosół się gotuje, sprawdziła, czy łóżka porządnie są zaślane, poprawiła firankę przy łóżku Weronki, złożyła na swem miejscu w alkierzu we wgłębieniu muru, które nazywała swą kapliczką, książkę do nabożeństwa i różaniec, poczem dopiero wróciła do głównej izby, mówiąc:

— List od Andrzeja!

Usiadła przy stole, a Marta i Jan, którzy właśnie wrócili ze dworu, zbliżyli się z wyrazem oczekiwania, podczas gdy ona ostrożnie nożem rozcinała kopertę. Anna, która wraz z tamtymi weszła do izby, stanęła na progu, opierając się łokciem o kamienną, wiekami zużytą ścianę. Głosem wyraźnym, który przy odczytywaniu słów, ręką jej dziecka pisanych, szczęściem nabrzmiewał, zaczęła matka czytanie:

— Droga matko, moje zdrowie jest jak zawsze doskonale i możnaby pomyśleć, że do żołnierki został stworzony, gdyby nie to, że nawet tu na wojnie znalazłem wyraźny dowód, że Pan

— Czy prałat, czy wikary, czy patron, czy asystent, kapłan jest kapłanem, i jako kapłanowi należy mu się cześć; bo kapłaństwo to nietylko ludzka rzecz, tylko Boża. Mamy niestety aż za wiele takich Polaków, którzy nazywają się katolikami, a kapłanów nienawidzą i zwalczają prawdziwie po masonsku. A przecież bez kapłana niema ani Mszy św., ani odpuszczenia grzechów, ani ostatnich Sakramentów, ani Kościoła, ani niczego. Tem więcej my katolicy winniśmy widzieć w kapłanach narzędzia Boże, ojców duchownych, którzy nas prowadzą do Boga, i jako ojców winniśmy ich szanować. Poza tem jednak w pracy społecznej i katolickiej nie chodzi o tytuły i godności i czołobitności, ale o wierną służbę dla Chrystusa i Kościoła.

Już nie pamiętam wszystkiego, com owej panience powiedział. Ale przy tej sposobności przychodzi mi taka myśl:

Dawniej była modna demokracja; dziś są modni wodzowie — w różnych narodach, różni. Co taki wódz powie, to uchodzi za nieomylnie, za święte. Co uczyni, jest dobre. Gdzie się ukaże, krzyczą ludzie „hurra“ aż do zachrypnięcia. I owszem, niech krzyczą.

Bóg innej służby ode mnie wymaga. Pamiętajsz pewno, matuchno, że pewnego razu, gdym jeszcze był mały, w sekrecie ci się zwierzyłem, że podczas roboty przy sianie, gdym był zupełnie sam w stodole, poczułem nagle jakąś wielką szczęśliwość w sercu i pragnienie zostania księdzem, a także pewność, że nim kiedyś będę...

Marja Maguern przerwała czytanie i podnosząc wzrok na męża rzekła:

— Nie wspominałam ci o tem, Janie, boś mi o tem mówić zabronił; ale było tak, jak pisze.

Potem czytała dalej:

— Nie uszanowaliśmy wtenczas tego widocznego znaku z nieba tak jak należało, a jedyna osoba, której zwierzyłem się poza tobą, mamó, poradziła mi, abym poczekał przez wzgląd na ojca, który dla naszego wychowania pracować musiał ciężiej, niż inni, a ja już zaczynałem mu być pomocny. Minęły lata, a praca ojca wcale się nie umniejszała, nawet przeciwnie. Myśl o zostaniu księdzem zawsze we mnie tkwiła, zjawiając się zwłaszcza w chwilach, gdym mógł zobowiązać się na całe życie. I oto tu na wojnie myśl ta znów mną oswładnęła. Opowiem ci kiedyś, jak to się stało, że ją wyjawiał naszemu kapelanowi, którego tu wszyscy szanujemy i Kochamy. Wyjawilem mu ją, nie wierząc nawet w możliwość zabierania się w moim wieku do nauki. Wyprowadził mnie z błędu. Przez czas dłuższy mnie obserwował, aby mnie dobrze poznać, a teraz uczę się z nim łaciny przy huku dział, pomiędzy dwoma atakami, albo też na tyłach frontu, podczas postojów od poczynkowych. Powiedz ojcu, matuchno, że według tego, co mi mówił nasz kapelan, opłata za moją naukę będzie bardzo niewielka i że potem, jak wojna się skończy, będę może mógł wystarać się o stypendjum...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ale równocześnie widać inne zjawisko. Gdy Chrystus za pośrednictwem Kościoła swego coś ogłosi albo nakaze, ile to mędrkowania a krytykowania, a czasem szyderstwa i jawnego buntu!

Przed człowiekiem ludzie padają w proch, jak przed bożkiem, a wobec Chrystusa i Kościoła podnoszą czoło butnie i hardo.

A Chrystus milczy i czeka, bo jest cierpliwy i dobry. Ale Chrystus jest równocześnie Panem życia i śmierci, jest Wodzem, wobec którego wszyscy ziemscy wodzowie są prochem i niczem.

Więc mu, wierzący katolicy, święmy Wielkanoc nietylko przez dzielenie się jajkiem i zjadanie święconki, ale wprostujemy pochylone ramiona, podniesmy czoła, dusze i serca, zaśpiewajmy Chrystusowi, Panu nieba i ziemi, Alleluja — głośne, zwycięskie, radosne i nabierzmy nowego ducha do pracy i walki.

A jeśli co z placków, kielbas i jaj powędruje ze stołu naszego do przytułku głodnych współbraci, wtedy Alleluja nasze zabrzmi z podwójną mocą i radością.

Druh z Baranowa.



Niewiasty święte u grobu Chrystusa. Obraz, Bouguereau (czyt. Bugero).
(Objaśnienie obrazka na str. 252.)